

PAWEŁ MARGUERITTE.

# CZARNA KSIĘŻNICZKA

2

Ciąg dalszy.

— Mam honor złożyć panu wyrazy współczucia redakcyi *Nowości*, których jestem współpracownikiem, a zarazem ofiarować wszelką pomoc, jaką możemy przynieść w tym smutnym wypadku.

Mitre zdziwiony odpowiedział kilkoma słowami, zastanawiając się, skąd on o tem wiedział i co może pomódz. Bał się, że jutro ujrzy imię swe, Edgarda Mitre, poważanego urzędnika ministerium, wydrukowane grubemi literami na pierwszej karcie dziennika. Przejął go strach przed interwiewem.

Młody człowiek usiadł wygodnie i trzymał już w ręku bloczek papierowy i ołówek.

— Wszystko, co pan będzie łaskaw zakomunikować mi, powtórzę z najzupełniejszą dokładnością. Czy nie ma pan przypadkiem fotografii zaginionej córeczki, własnej, a także i żony.

— Ależ panie... ten rozgłos nadzwyczajny...

— Jest to najskuteczniejszy środek powiadomienia osób, które również jak i pan są zrozpaczone zamianą własnego dziecka na cudze. Jutro, jak tylko wezmą do ręki *Nowości*, będą wiedzieli, gdzie mają szukać własnego syna i komu zwrócić zatrzymaną córeczkę. Imię pana tak jest powszechnie znane...

— O panie... odezwał się Mitre przestraszony a zarazem ujęty tem pochlebstwem, lecz kto pana poinformował o mem nieszczęściu?

— Wypadek — odpowiedział reporter z uśmiechem. Znajdowałem się w biurze policyi w celu załatwienia pewnego nieporozumienia z doródkarzem, gdy przyszła tam pańska służąca.

— Żałuję, że nie mogę udzielić panu informacji, lecz wiem tyle tylko, co i pan. Proszę mi to wybaczyć, a zarazem przyjąć podziękowanie za swą dobrą wolę.

Otworzył drzwi do przedpokoju, chcąc w ten sposób dać mi poznać, że rozmowa już dość długo trwała, reporter jednak nie uznał się za zwyciężonego.

— Zajęcie nasze zmusza nas często do pewnej bezwzględności, proszę więc o jedno tylko jeszcze słowo. Czy nie podejrzewa pan kogo?

— Sam nie wiem, nie sądzę, nie, nikogo.

— Wobec tego dziękuję panu uprzejmie. Niech pan nie traci nadziei i liczy na nasz dziennik, który więcej jest wart od wszelkiej policyi.

Mitre, odprowadzając reportera aż do drzwi wchodowych, wyjrzał na korytarz, by upewnić się, że istotnie on już odszedł i nie wróci się i chciał zamknąć za nim drzwi, gdy nagle ujrzał przed sobą jakiegoś człowieka w czapce, podobnego z wyglądu do dobrego kupca.

— Czy zechce mnie pan przyjąć, przychodzę w sprawie pańskiej zguby — odezwał się.

Mitre aż się zatrząsł cały na widok nowego gościa, wprowadził go jednak do salonu i zapytał: — Proszę, o co chodzi?

Przybył ten o mizernym wyglądzie i siwiejącej brodzie rozpiął powoli palto i wyjął z wewnętrznej kieszeni ręczny skórzany woreczek.

— Przedmiot ten wypadł z ręki pańskiej żony, gdy wychodziła z domu pod numerem 50 przy ulicy Le Peletier. Podniosłem go, lecz nie zdążyłem już oddać, gdyż pani wsiadła szybko do dorózki i odjechała.

— Ależ, odparł zdziwiony Mitre, skąd pan przypuszcza, że ten woreczek należy do mojej żony?

— Ośmieliłem się otworzyć go i znalazłem w nim nietylko karty wizytowe pani, ale i list rekomendowany z zaznaczonym adresem pana. Ponieważ szedłem do tej dzielnicy po reperację, jestem bowiem do usług szanownego pana zegarmistrzem — jubilerem, postanowiłem sam odnieść tę zgubę.

Nie można było wątpić, pan Mitre jednak nie mógł pojąć, co żona jego robiła na ulicy Le Peletier.

— A czy tę damę mógłby pan rozpoznać? — zapytał jeszcze niedowierzająco. Czy pan jest pewny...

Może ten woreczek został skradziony? Wolał już to przypuszczenie, niż ten niepokój, jaki go ogarnął na myśl, że żona co innego mu mówiła, a co innego robiła.

— Pani ta jest młoda, jasną blondynką, ubrana zaś była w ciemno-niebieski kostium i wielki kapelusz z fiołkami.

Było to najdokładniejsze opisanie Ninetki, pan Mitre jednak nie zastanawiał się już nad tem, lecz zaczął dziękować jubilerowi za jego uprzejmość i uczciwość.

— Ale, co znowu, proszę pana! nie wielkiego nie zrobiłem!

Widząc zaś, że pan Mitre zażenowany wyciąga z kieszeni woreczek, by okazać swą wdzięczność uczciwemu znalazcy, zawołał obrażony:

— Nie, nie. Ja nie po to przyszedłem, pan mnie znieważa.

— Pan jednak fatygował się dla mnie...

— Jeżeli pan chce koniecznie wyświadczyć mi dobro, to proszę o jaką reperację zegarka lub biżuteryi.

Przy ostatnim słowie panu Mitre przyszła jedna myśl do głowy. Nie chciał wynagradzać tego człowieka obietnicami, wolał więc wywdziżyć się natychmiast, zwłaszcza iż ma ku temu sposobność z powodu nadchodzących imienin Ninetki.

Pozostawiając jubilera w pokoju przeszedł do sypialni, gdzie żona chowała swą biżuterię i po chwili wyszedł z dwoma pudełeczkami w ręku.

— Chciałbym dodać tutaj, odezwał się otwierając pierwsze pudełko, jeszcze jeden rząd do tego naszyjnika z pereł. Ile to może kosztować?

Jubiler zważył go uważnie w ręku, przyjrzał się każdej perle po kolei, badał je pod światło, wreszcie rzekł:

— Są one bardzo piękne. Nie mógłbym dostarczyć trzeciego rzędu taniej, jak za jakie cztery pięć tysięcy franków; mówię to ma się rozumieć tylko w przybliżeniu.

Pan Mitre, który nie był usposobiony wesoło, uśmiechnął się jednak i dodał:

— Niestety, te perły są fałszywe.

Jubiler spojrzał na niego zdziwiony, poczem jeszcze raz badał ich blask.

— Jeżeli te perły są fałszywe, to ja nie mogę być nawet uczniem u jubilera. Są to, proszę pana, wspaniałe perły o niezwykle czystym tonie; ten naszyjnik wart co najmniej piętnaście tysięcy franków.

Zaskoczony tą oceną pan Mitre, nie mógł zdać sobie sprawy, czy śpi, czy jest na jawie, czuł tylko tutaj jakąś tajemnicę, której nieświadomość otaczała go.

Dlaczego Ninetka mówiła, że te perły są fałszywe? Jeżeli prawdziwe, to skąd miała na nie pieniądze? Takiej sumy nigdy jeszcze nie posiadała. Ze wszystkich sił odpychał o siebie podejrzenie, które nasuwało się. Nie, lecz dlaczego żona okłamała go w ten sposób?

— Czy pan jest zupełnie pewny tego? — zapytał.

— Najzupełniej, proszę pana, odpowiedział jubiler.

— A ta broszka brylantowa — Mitre otworzył drugie pudełko — jest prawdziwa, czy fałszywa?

Po zbadaniu jej przy pomocy szkła powiększającego jubiler wydał nowy wyrok.

— Są to brylanty najczystszej wody. Jeżeli to cacko nie jest warte dziesięciu tysięcy franków, każdy może mi powiedzieć, że jestem kowalem, a nie jubilerem.

Pan Mitre był jak przybity. Ten ton szczerości i pewności przygniatał go. Lecz jeżeli te perły i brylanty są prawdziwe! Ninetko!...

Przecież ich nie ukradła... kupić nie mogła... Musiała więc otrzymać. Nie mógł pogodzić się z tą myślą. Drżącymi rękami zamknął pudełko. Już nie błąd był, lecz przeżroczysty.

Jubiler, który przyglądał mu się ze zdziwieniem, spostrzegł, lecz już za późno, że przyczynił się do zerwania zasłony z jakiejś wielkiej bolesnej tajemnicy. Nie mogąc pojąć wszystkiego, czuł tylko, iż sprowadził jakiś straszny cios i żał mu się zrobiło.

Zmieszany wziął ze stolika kapelusz, pchany jedyną myślą, by jaknajprędzej stąd wyjść.

— Niech mi pan zostawi swój adres, odezwał się słabym głosem Mitre.

— Lecz panu coś się stało, wydaje się pan cierpiącym...

— To nic, to drobnostka, muszę tylko poostać sam.

Jubiler zostawił na stoliku swój adres i szybko wyniósł się.

Mitre zupełnie bez sił opadł bezwładnie na fotel. Tyle wzruszeń!... Ulica Le Peletier, zgubiony woreczek, prawdziwa biżuteria... Na chwilę porzucił się w tej czarnej, przerażającej pustce, jaka się przed nim rozwarła. Wszystko runęło. Jego Ninetka tak czysta, szlachetna. Nie! to tylko nikczemne podejrzenie...

Czyż nie dosyć nieszczęścia z zaginionem dzieckiem, by jeszcze powstawało nowe, gorsze — sroga żona!

Twarz ukrytą w dłoniach, oparł na stole, powtarzając uporczywie jakby w słowach tych szukał dla siebie nadziei.

— Byłoby to zbyt straszne, Ninetko!... Nie, nie, to niemożliwe!

Lecz bezlitosne zwątpienie targało, rwąc na strzępy, zbolełe jego serce i wiarę w czystość żony.

III.

Kwiaty i pióra.

A jednak Germaine Mitre poszła na ulicę Le Peletier.

Z zapuszczoną na twarzy woalką szybko skryła się w bramie domu pod numerem 50.

Na pierwszym piętrze tego wspaniałego domu z dywanami i roślinami na schodach, na wysokich podwójnych drzwiach świeciła się mosiężna tabliczka.

Madame Amelie.

Pióra i kwiaty.

Na dźwięk dzwonka młoda pokojówka w eleganckiej czarnej sukni, w białym kołnierzyku i mankietach, o dystygowanym wyrazie twarzy, otworzyła drzwi, witając ją miłym uśmiechem. Następnie wprowadziła ją do salonu, gdzie na wielkim kantorze w całej masie otwartych pudełek widać było pióra w najrozmaitszych kolorach, wszelkich rodzajów, od najtańszych do najdroższych strusich piór, które przy najłżejszym technicznie chwiały się jak wspaniałe piórorusze na hełmach oficerów gwardyi.

Inne kartony zawierały znowu całe oranżerye kwiatów najwykwintniejszych w najdziwniejszych odcieniach, od hortensyi, orchidei do bladej żółtych róż, dających złudzenia żywej natury.

W rogach na czarnych stolikach stały wysokie, podobne do grzybów na wyrosłych łodygach, postumenty z kapelusami damskimi różnych fasonów i rozmiarów.

W sali tej obitej żółtawą morą, zaślanej wielkim puszystym dywanem i zastawionej miękkimi meblami powietrze było ciężkie, przesycone sztuczną wonią wszelkiego rodzaju kwiatów, jakie tam się znajdowały.

Po chwili wsunęła się raczej niż weszła mała, otyła brunetka z włosami zaczesanymi do góry w niezwykle ekscentryczny sposób, na białej ręce świeciła się złota bransoletka. Pulchna, okrągła, wyglądała jak świeże ciasto, wyrosłe ponad formę, z której się wylewa.

— Dzień dobry, Amelio.

— Dzień dobry, Ninetko.

Ucałowały się.

— Jesteś punktualna. Lecz „pan Roger“ telefonował, by cię przeprosić, iż z powodu ważnych interesów będzie tutaj dopiero o czwartej. Masz więc dosyć wolnego czasu...

— Doskonale, właśnie muszę kupić sobie jedwabiu w galerii Lafayette.

— Dobrze się składa. Jesteś dzisiaj bardzo piękna... — W kostymie tym bardzo ci jest do twarzy.

— Doprawdy? — zapytała uradowana pani Mitre.

Zbliżyła się do wystawionych na pokaz kapeluszy i chcąc odplącić się za komplement, który ją ucieszył, odezwała się:

— Muszę sobie kupić taki. Oh! jaki ten wspaniały.

— Wszystko do twoich usług, moja droga.

I korzystając z wolnego czasu obie damy zasiadły w fotelach i rozpoczęły plotkowanie, jak dwie stare przyjaciółki.

Amelia Troussel, eksmodystka, następnie kurtyzana, już od dwóch lat prowadziła swój nader zyskowny interes kwiatowy. Rozłożony towar służył do zamaskowania sekretnej przemysłu, w istocie bowiem utrzymywała dom schadzek, dyskretnie ale i kosztowne schronisko dla rozpusty paryskiej.

Gdy przed dwoma laty spotkała Ninetkę u dentysty i przypomniała się jej jako dawna przyjaciółka ze szkół — przez jakiś czas chodziły razem do klasztoru — po krótkiej z nią rozmowie poznała, że ta młoda i piękna kobieta, zaślubiona daleko starszemu mężczyźnie, a pełna pragnień życia i użycia, jest jakby przeznaczona dla zepsucia.

Nie miała też zbyt wiele trudu, by doprowadzić ją do tego, co zamierzyła sobie; przytaczała jej